Przyjaciel Ludu.

Rok czwarty. **No. 9.** Leszno, dnia 2. Września 1837.



Kościół katolicki w Dreznie.

W całéj Polsce nie ma piękniéjszego w nowym stylu kościoła, od tego, którym August III. Drezno ozdobił. Stoi on nad Elbą, przy wstępie na most, w miéjscu okazałém, otwartém, tak, że w koło go obejść można. Budowany w kształcie podłużnego czworoboku, cały z kamienia ciosowego, z wysoką wieżą na przodzie: może zbyteczną liczbę ozdób zarzucić mu można; ale tak jest przytém lekki, że zdaje się, jakby z kości słoniowéj był wyrobiony; gzyms jego ostawiony w koło 64. posągami różnych świętych, które wszystkie z rysunków Torellego, rzeźbiarz Matiolli pięknie i w właściwéj mierze wyrobił. Cztery jest wnijść pobocznych, piąte główne od mostu, nad którém w górze herby polskie i napis: „Bogu najlepszemu, największemu, ten święty przybytek August III. wystawił roku 1754.“ *) Budowniczym był Kajetan Chiaveri, budowa trwała lat kilkanaście i kosztowała do 2. mill. tal. Wojna siedmioletnia niedozwoliła pobożnemu Augustowi ozdobić wewnątrz, jak miał zamiar; jakoż prostota kościoła tego w środku nie odpowiada zewnętrznemu bogactwu; atoli piękny jest wszędzie i samą wielkością wspaniały. Stanowi właściwie jakoby trzy kościoły. W środkowym, na chórze, są organy roboty sławnego w Niemczech mistrza Silbermana; ambona obciążona ozdobami snycerskiemi, z drzewa, pracy Permoza, i 3 obrazy wybornego pendzla Rafaela Mengsa. Pierwszy, w wielkim ołtarzu, wystawia Wniebowstąpienie Zbawiciela: drugie 2 obrazy, w pobocznych ołtarzach będące, wystawiają ś. Józefa, gdy mu anioł oznajmia przyszłe narodzenie Chrystusa, i Maryą trzymającą kilkoletniego Jezusa, z natężeniem nadludzkiém zabijającego i depcącego smoka.

Z obydwóch stron wielkiego ołtarza są loże, aksamitem ponsowym wybite, przeznaczone dla rodziny królewskiéj; daléj ganki, gdzie dwór i

*) D. O. M. hanc sacram aedem Augustus III. consecravit MDCCLIV.

pierwsi urzędnicy wyznania katolickiego się mieszczą. Z dwóch pobocznych kaplic, pięknemi ozdobionych obrazami, jedna ś. Xawerego, druga ś. Benona nazwę nosi: równie celują małe kaplice za wielkim ołtarzem malowidłami biegłych mistrzów. Z dzieł rzeźbiarskich, dwa tylko posągi z marmuru dłóta Berniniego ten kościół zawiera, Jana Chrzciciela i Maryą Magdalenę, i wielką chrzcielnicę: znawcy je chwalą, i są zupełnie starożytnego smaku.

W całéj świątyni porządek zaprowadzony wzorowy: prawa strona kościoła przeznaczona dla mężczyzn, lewa dla kobiet; przez cały ciąg nabożeństwa chodzi po kościele kilku tak zwanych Szwajcarów, t. j. odźwiernych, wysokiego wzrostu, w barwie królewskiéj, którzy porządku pilnują. Oba te zwyczaje wprowadzić miała pobożna Marya Józefa, żona Augusta III., która była niezmiernie gorliwą o dobre zwyczaje i przyzwoitość. Muzyka katolickiego kościoła w Dreznie, w całych Niemcach głośna, utrzymywaną jest wielkim kosztem, i lubo unosi i zadziwia, ma w sobie wiele teatralnego, i ducha nabożeństwa rozrywa. Na Wielkanoc, i Bożeciało występuje król z całą rodziną i domem wspaniale; jaśnieją wtedy drogie kamienie, panowie niosą długie xiążęcych sukien ogony, i przypominają dawno upłynione czasy. Takie widowiska wabią lud nawykły w swoich obrzędach do zawsze jednostajnéj prostoty.

Aż do roku 1806 niemiał kościół katolicki drezdeński żadnych dzwonów, ponieważ zaprowadzeniu ich mieszkańcy Drezna i rząd się sprzeciwiał. W roku 1807, zaciągniono na wieżą pierwszy raz dzwony.

Mąż luby.

Koniec.

II.

Czułych' pieszczót nie zrachujesz,
Gorzkich smutków nie uczujesz;
Bo są słodkie takie śluby,
Gdzie kochankiem mąż jest luby.
Pędzą chmury od północy,
Gasną gwiazdy w czarnéj nocy,
Wiatr się zrywa, szumi, syczy,
Raz za razem piorun ryczy.
Jakże straszny gniew téj fali,
Jak w szaleństwie wszystko wali.
Dęby, sosny niebotyczne,
Całe lasy okoliczne,
Ściele stopa téj nawały',
Rozhukanych wichrów szały.
Któż tam chodzi w téj ciemnicy,
I urąga nawałnicy?
Ach ta postać dobrze znana,
Ach to krwawa postać pana!
Łza boleści pali oko,
W piersiach wbity nóż głęboko;
Sroższe duszy znać cierpienia,
W licach niemasz przebaczenia.
On przychodzi do swéj żony,
On za życia mąż zdradzony,
Na swym grobie wyśmiewany,
Przez niewierną zapomniany;
Już w pałacu zwolna kroczy,
Już przed żony stawa oczy.
Ona widzi i blednieje,
Ona widzi i truchleje,
A tak do niéj mówi luby:
„Wszakże słodkie nasze śluby,
„Bo lubego oko ciemne
„Na to wszystko, co nadziemne.»
Pan posępne czoło wznosi,
Tak swe skargi z jękiem głosi:
„Ukochane, srogie dłonie
„Nóż utkwiły w mojém łonie,
„Kara pewna choć się zwleka,
„Żonę taką kara czeka.
„Bo nie słodkie takie śluby,
„Gdzie przez zbrodnią mąż jest luby.»
Ona słucha i blednieje,
Ona słucha i truchleje,
Gdy znów do niéj mówi luby:
„Wszakże słodkie nasze śluby.»
Bo lubego martwe uszy,
Głos nadziemski ich nie wzruszy.
Znów się błyska, piorun ryczy,
Już jest panem swéj zdobyczy.
Dusi siarka swym oddechem,
Próżno lecą tam z pośpiechem;
Bucha płomień pod niebiosy
A z pałacu słychać głosy:
„Ach nie słodkie takie śluby,
Gdzie przez zbrodnią mąż jest luby.»

Modlitwa sieroty.

Dziecina,
Kruszyna,
Rączęta złożyła
I tak się modliła:
O Ojcze, o Boże,
Twa ręka wspomoże
Sierotę, twe dziecię;
Bo matka umarła,
Ze sobą wydarła
Me szczęście na świecie i t. d.

S. B.

Giermek. Śpiew historyczny.

(Rzecz wzięta z Niesieckiego.)

Smutnie w polskiéj było ziemi,
Smutne wojsko i lud smutny;
Wszystko siły przygniótł swemi,
Podbił, zajął Szwed okrutny.

W długim cieniu drzew lipowych
Koczowały zbite szyki,
Przy ogniskach obozowych
Stały nieme wojowniki.

Gdy wtém siwym strojny włosem,
Którym lekki wiatr powiewał,
Wieszcz się znanym ozwał głosem,
Trącił w lutnię i tak śpiewał:

„Mile gadka dawnéj treści
„Brzmi dla ucha, w serce wpływa;
„W starych czasów to powieści
„Stara dzielność się ukrywa.

„Był czas, gdyśmy za przedmurze
„Za tarcz ludom, światu stali;
„Był czas, gdyśmy wschodnie burze
„Piersią naszą odpierali.

„Lasem polskich dzid narody
„Zasłaniane od podboju,
„Wynucały pieśń swobody,
„Pieśń miłości, pieśń pokoju.

»Naszym hymnem był szczęk broni,
»Trąb wojennych dzikie dźwięki,
»Wrzawa bitew, grzmot pogoni,
»I rozległe rannych jęki.

»Złoci wieczór łan Podola,
»Ciągną wojska, tabor, wozy,
»Tętnią całe lasy, pola,
»Stoją groźne dwa obozy.

»Z jednéj strony sztandar wiary,
»Siwy hetman, młodzież dziarska;
»Z drugiéj wściekłość, krew, pożary
»I straszliwa czerń tatarska.

»Jutro, jutro z rannym brzaskiem
»Dzień gonitwy, dzień rozprawy;
»Słońce krwawym zaszło blaskiem,
»Bój to będzie straszny, krwawy.

»Ledwie pierwszy mrok zapada,
»Polski hetman kord przypasze,
»Z młodym giermkiem na koń siada,
»I objeżdża czaty nasze.

»Jedzie — patrzy w obóz dziczy,
»Słucha gwaru — rżenia koni,
»Pyta — zważa — ognie liczy,
»I już w myśli łamie, goni.

»O nie ciesz się, wodzu stary,
»Zmienne wojny są koleje,
»Nie tak łatwo to z Tatary;
»Słuchaj! patrzaj, co się dzieje!

»Hura! hura! pędzi horda,
»Nocny napad w obóz leci,
»Giermek za broń, wódz do korda,
»Na koń! woła, na koń dzieci!

»Śpieszą, biegną do swych szyków,
»W pośród nocnych pędzą cieni;
»Gdy wtém z grzmotem nowych krzyków
»Zewsząd czernią otoczeni.

»Tną i walczą na przebicie,
»Rąbie hetman, giermek łamie;
»Całą młodość, ogień, życie,
»W wojujące przelał ramię.

»I już słyszą, słyszą w dali,
»Jak nadbiega polska wiara;
»Ale już ich nie ocali
»Już nie wyrwie z rąk Tatara,

»Wzięty giermek, hetman wzięty;
»Krzyczy, huczy motłoch dziki;
»Bucha gniewem chan zacięty,
»Patrząc na swe niewolniki.

»Wre i zemstą ryczy srogą,
»Każe jedném skuć żelazem
»Nogę giermka z wodza nogą,
»I tak obu więzić razem.

»Smutnie wzrok ich wzniósł się, zwrócił
»Na wysokie gwiazd sklepienia;
»Ale na cóżbym wam nucił
»Ich boleści, ich marzenia?

»O kto nigdy pęt nie nosił,
»Kto nie jęczał w wrogów mocy,
»Strawy swojéj łzą nie rosił,
»Nie przetęsknił długich nocy;

»Kto w pół dzikim, podłym tłumie
»Nie wlókł ciężkich lat niedoli;
»Nie, nie pojmie, nie zrozumie,
»Jak jest gorzkim chleb niewoli!»

I na chwilę marząc smutnie
Wieszcz ucicha .... łzę wylewa ....
I znów nagle trąca w lutnię
I tak daléj gra i śpiewa:

»Zasnął hetman siwobrody,
»Zasnął jakby między swemi;
»Nie śpi, czuwa giermek młody,
»Długo o swéj duma ziemi.

»I łza tryska mu z źrzenicy,
»Żal i rozpacz serce tłoczy;
»Gdy wtém nagle w swéj ciemnicy
»Zapomniany topór zoczy.

»Patrzy, duma, drży i marzy,
»Serce szczytnym ogniem płonie,
»Wielki w duszy zamiar waży,
»Topór w obie chwyta dłonie;

»I podnosi ręką śmiałą,
»Mężnie ku swym pętom zwróci,
»Tnie — odcina nogę całą,
»I hetmana swego cuci.

»Wolnyś! rzecze, straż zaspana,
»Uchodź, ocal twą krainę;
»Śpiesz, i pobij wojsko chana,
»Ja z radością tutaj zginę.

»Powstał hetman i wzniósł dłonie,
»Rzewnemi się łzami zalał,
»Żegnał, Boskiéj zdał obronie,
»Ścisnął, uszedł i ocalał.

»I straż nagle z snu się zrywa,
»Wieść ucieczki wodza szerzy,
»I sam wkrótce chan przybywa,
»I zaledwie oczom wierzy.

»Długo, długo wzrok swój wryty
»W śmiałych topi mu zrzenicach,
»Stoi jakby gromem zbity,
»Po dostojnych czyta licach.

»I odpycha wszystkie straże,
»Cnota dzikość zwyciężyła;
»Każe leczyć, darzyć każe,
»I do Lachów go odséła. —

»W świetném dworzan, wodzów gronie,
»Szkarłatnemi szaty odzian,
»Siadł król polski na swym tronie,
»Wdzięczny przed nim stanął młodzian.

»W miéjscu nogi prosta kula
»Ujmującą postać wspiera,
»I dwór cały się rozczula,
»Z szmerem dziwu nań spoziera.

»I dwaj wiodą go rycerze,
»Kornie przed tron przystępuje;
»Król z wezgłowia szczerbiec bierze,
»I rycerzem go pasuje.

»Gdy wtém w pośród wodzów koła,
»Hetman nogę niesie złotą;
»Oto herb twój! król zawoła,
»Wysłużony twoją cnotą.

»I porywa dłoń rycerza,
»Wśród okrzyków ludu wiedzie,
»I przed ołtarz Pański zmierza,
»I sam klęka z nim na przedzie.

»O blask, chwałę swych orężów,
»Korne w niebo dłonie wznosi,
»I o więcéj takich mężów
»Dla ojczyzny swojéj prosi.»

Tu dźwięk lutni mdlał, upadał,
Coraz głuchszém cichła brzmieniem;
A wieszcz w duszach śledził, badał,
Co w nich swojem wzbudził pieniem.

F. M.



Giermek. (Śpiew historyczny.)



Okolica Wateleta, (z wystawy poznańskiéj.)

O wystawie poznańskiéj.

(Ciąg dalszy.)

Rybak Hübnera należy do dawniéjszych płodów szkoły dysseldorfskiéj: wystawia on chłopca nad brzegiem wody, którego Switezianka znęca pod swe nurty; widzisz wewnętrzną walkę w młodzianie:

„I chciałby skoczyć, i nie chce,
„Wtém lekka fala prysnąwszy z brzegu,
„Lekko go w stopy załechce."
„I tak go łechce, i tak go znęca,
„Tak się w nim serce rozpływa,
„Jak gdy tajemnie rękę młodzieńca
„Ściśnie kochanka wstydliwa."

Scena samotna, cicha, mogła zapalić młodą wyobraźnię autora: lecz jestże to czysta Switezianka, jaką nam Lamotte-Fouqué w swojéj skreślił Undynie? — Czemuż ta bogini, zawsze młoda, starszą ma być od młodzieńca? czemuż wreszcie tak przełamywać kształtną jéj kibić, że na pierwszy rzut oka wstręt sprawia w widzu; mniéjszą jest wadą śniada barwa wody i martwość liściatego drzewa. *) — Wyżéj nam ocenić wypada pokrewniony pomysł Sohna: porwanie Hylasa; dziwną jest rzeczą, że w dwóch dziełach, z których jeden z greckiéj mytologii, a drugi w średniowiecznych wyobrażeniach czerpany, tęż samą ujrzysz kompozycyą: niezmierny przedział wieków: zupełnéj różności sfer oba nie pojęli kunsztmistrze, jedną cechą współczesności napiętnowawszy swe obrazy. Niemasz w Hylasie szlachetnéj prostoty i pięknéj wydatności klassycyzmu, ani w rybaku średniowiecznéj czułéj i ostréj romantyczności. Hylas porwany przez trzy Nimfy, broni się już od niechcenia: w twarzy jego nić nie wyraża szlachetnéj dumy, która woli ustąpić i uledz, niż zniżyć się do walczenia z nierównym: Nimfy są piękne, chociaż czarnobrewéj więcéj włosów nadać wypadało: dziewica w włosach przyciemnych dowcipnym wyrazem twarzy zajmuje widza. Trzecia bez wyrazu, niknie w obrazie; sąże to boginie wodnéj przestrzeni, czyli téż ziemskie córy? przyznamy, żeśmy nic niebiańskiego w ich oku nie dostrzegli: daremnie świetna szkoła Dysseldorfu usilnie całym blaskiem farb swoich dawne odświeża przekonania; nie udało jéj się dotąd, ani chrześciańskich apostołów i męczenników, ani nawet greckie bogi, w godnéj ich wystawić szacie: złote byzanckie obrazy i każdy marmur Partenonu, gorętszym jest, od dzisiéjszych, miłych słodkawych kompozycyj: człowiek, co wszystko chciał rozsądzić, zważyć, zrozumieć, stracił to życie czucia, młodości świata i młodości chrześciaństwa właściwe, a tryumf rozumu nad cudowną tradycyą, stał się śmiercią nadludzkich natchnień, czerpanych w sferze niebiańskiéj.

Poniżéj wesoły widok Taorminy na sycylijskiém nadbrzeżu! ciemne błękitne niebo zlewa się z ciemném błękitném morzem; na tem snują się tu i ówdzie dalekie statki w bieli, na niebie zaś żaden nie żegluje obłoczek. Na wybrzeżu pośród pysznych, mchem porosłych ruin, nad grobem greckiéj kolonii, w obliczu oniemiałéj historyi, prosty pastuch przygrywa swym stadom na flecie. Jakiekolwiek wady są w tym obrazie, nie zaprzeczy nikt Ahlbornowi, że dostąpił celu wstrząśnienia duszy swych widzów; kto zwątpi, że raj jest na ziemi, niech spojrzy na Taorminę: lecz jakimże mieszkaniec raju? potomek bohaterów Grecyi, Rzymu, Arabii i dzielnéj Normandyi? oto gnuśny góral sycylijski.

Lecz nie tylko błękit niebios i morza zachwycić cię zdołają; dowiódł Gué, że i ciemna zieloność leśnych okolic Francyi równie ujmuje duszę. Arcydzieło francuzkich krajobrazów, pod względem drzew najdoskonalsze na wystawie, świadczy o tém, że Francuzi w idealizowaniu natury już to osiągnęli, co Bawary i Nadreńczyki daremnie usiłują: dziwne to zjawisko trudną pozostaje zagadką; nie dziwi nikogo, że bitni, mowni, ruchawi i burzliwi Francuzi, przewyższyli inne narody w malarstwie historycznem, lecz czemuż je prześcigli w krajobrazach: bo popęd, dany duchowi narodu z jednéj strony, w wszelkim rozwinic

*) *Sam obraz rybaka będzie w przyszłym Numerze.*

go kierunku; wszakże nawet autor historyi nowszego malarstwa w Niemczech, zwiedziwszy przeszłoroczną wystawę paryską, choć poniekąd mimowolnie, wyższość jéj przyznał.

Pod tym obrazem był umieszczony młyn P. Bellermanna, w którym przezroczystość wody dobrze jest wydana, i miłe sprawi wrażenie. — Obok niego wspomnieć wypada krajobraz zimowy Karola Schultze, znajomego malarza przypadków łowieckich, których kilka nadesłał; ma on pendzel lekki i wesołość w pomysłach, i nie jeden przechodzący myśliwy z upodobaniem się nad nim zatrzyma: najlepiéj odrysował on· «wóz złamany»; ale koloryt drzew zbyt jest słaby, szczególniéj obok pięknych francuzkich krajobrazów.

Wagnera dziecko z papugą starannie jest malowane, i odznacza się blaskiem kolorytu i poprawnością rysunku pomiędzy temi obrazami, które nic nie mają w widzu obudzić, nic rozniecić, nic zagoić lub natchnąć: inne sprawi na tobie wrażenie ten Faust powyżéj zawieszony, młodzieńcze to prace wielkiego mistrza; nie patrz na błędy, lecz na ten gieniusz dzielny, co się zdradził w głębokim wyrazie twarzy zasępionego czoła Fausta, który białym obwiniony płaszczem przysiadł i słucha sofizmatów Mefistofila. Piękny ten Faust zda się rozważać w téj chwili, jaką koleją postępować będzie daléj, czy powstanie na błędnéj drodze złego, czy powróci do Twórcy: pod boleśnemi marszczkami bladego lica, walczy wiara z dumą, miłość z rozpustą, i namiętność z cnotą: oko jego wskroś przeszywa księcia ciemności, który go w sidłach sofistycznych rozumowań zewsząd ująć usiłuje. Obok tego Fausta filozoficznego ujrzysz namiętnego w drugim obrazie; na zbrodniarza nadobnym czole spokojność miéjsce zajęła, gorączkowa boleść, i krwawy wyrzut sumienia; Faust zgrzeszył, krwią bliźniego się zmazał: był powodem zbrodni swéj kochanki, wszystko co kochał, w nim już umarło: jedynie miłość téj kochanki nieszczęśliwéj żyje w jego sercu, jeden ma cel, jéj ocalenie: lecz daremnie błaga szaloną, by z nim się wyratowała z więzienia: ona go z razu odpycha z ohydą, potém znów poznaje, serce i oko jéj mięknie, lecz postawa jéj jeszcze ta sama: widać, że odżyła do poznawania rzeczy, że powraca do cnoty i męztwa; a teraz książe ciemności wzywa Fausta, by uciekał, bo chwila ratunku upłynie. Wszystko to wyraził w pierwszym płodzie swego pendzla tenże sam młodzieniec, który w dojrzalszym wieku «śmierć dzieci Edwarda», arcydzieło nowoczesnéj sztuki, dokonał; słowem te dwa Fausty są pierwiastki poetyckiego życia Hildebranda: malował jeszcze pod wpływem Korneliusza, dla tego też jego kształty mają tę niezwykłą wielkość rozmiarów, jaką widzim na rycinach do Nibelungów, zrobionych przez mistrza monacheńskiego. Słusznie więc Heine rzekł o Korneliuszu, że widząc jego dzieła, zdało mu się, że nie są dziełem żyjącéj, lecz dziełem ręki zmarłego. Kształty olbrzymie, śmiałe, fantastyczne, nie srożą się przysadą malarzów francuzkiego cesarstwa, lecz straszą jakąś wewnętrzną, treściwą godnością. Później powrócim do Hildebranda i wpływu, jaki Schadów wywarł na niego.

Wzrok nasz krążąc po nad oknem, pada na dwa wielkie morskie obrazy, i zadziwi cię ogromna różnica wykonania. W obu jest gieniusz; w Achenbacha burzy nad brzegiem Hollandyi, widzisz boski ten płomień, co mistrzów zapala, oświeca, i pod jich pendzlem idealne tworzy dzieła: przeciwnie zaś Bruxelczyk Francia tyle w swoich kontrabandystów wlał namiętności, że ich gwałtownością i ogromem widzów przestrasza; w Achenbachu widzisz dwie walki: na dole okręt się pasuje z bałwanami rozhukanego morza, zręczność człowieka idzie w zawody z olbrzymią potęgą oceanu i umie uniknąć jego przeważnych zamachów; na niebie zaś inna wszczęła się walka; wśród silnego dęcia wiatrów, widzisz mocujące się między sobą chmury, każdą próżnią wśród téj burzy, każdy rozstęp wśród obłoków w mgnieniu oka wypełniają wielkie, świetne, blaskiem rażące promienie słońca: słońce walce przyświeca, i wszędzie, gdzie się zwróci, płomiennym ją grotem przestrzela. Nie, poczya nie zdoła powtórzyć niezmiernego wrażenia, które sprawił na tobie ten blask tak wielki, wśród dwóch chmur wylany, i z niebios spadający na morze śpienione. Obraz męki, walki i niebezpieczeństwa, ułagodzony tym promieniem, zda się widza przynęcać urokiem i niejako umilać się w jego oczach. Tak to gieniusz malarza umiał sromotną burzę rozhukanego oceanu, w godową natury przybrać szatę. Lecz jakiż jest ów Francia, niżéj umieszczony. O mroku, w godzinę po zachodzie słońca, uciekają lądem po nad skałami kontrabandziści z przemycanemi towary przed burzą nadchodzącą nieba; trzeba łódz naładować zdobyczą, i spiesznie dopłynąć okrętu, za nim się ozwą pioruny; lecz już inne grozi niebezpieczeństwo: widzisz dopadający szwadron konnéj straży: ścigani przemycarze czoło stawiają nieprzyjacielowi, wstrzymują go w zapędzie; inni drogie wyrywają towary z ich koni upornych, a największa liczba przemycarzy jęła się łodzi na brzeg wyciągniętéj, i spycha ją wszelkiemi siłami do morza, już będącego w odpływie: tu każda chwila straszliwą; dobytek, życie utracą: słyszysz jak na widok téj śmierci haniebnéj silniéj biją ich serca, ostatni dech się tłumi, aby wytężonemi ramiony łódź tę zepchnąć z lądu na morskie wały? może zdołają wyratować swoje: ocalić siebie?

Mistrz nie rozstrzygnął w obrazie, widz powątpiewa. Kogoż widok tyle gwałtownych namiętności silnie nie wzruszy? Umiał tu Francia całą okropną rzeczywistość w straszliwych wydać kolorach, pomysł jego świadczy o wyższéj zdolności. Lecz jakież to pole było dla gienialnego artysty? lecz jakżeż niedołężnie wypełnił go Francia? Nie zdaż ci się, że on, niby przemycarz w krainach sztuki, z gienialnym swym pomysłem spiesznie uchodzi, wielkie ślady stóp swoich zostawując. U niego tak skały jako i chmury, jak olbrzymie spoczywają massy: temi żaden wiatr nie pomiata, na tamtych żaden promień nie igra; na olbrzymiéj, skalistéj ścianie żadnéj szczeliny, żadnego drzewa, ni krzewu; dzika natura i dzikie passye człowieka: takim jest Francia, — Obrazy te Achenbacha i Francii więcéj ci powiedzą, niż mnogie rozprawy o charakterze szkół różnych narodów. Nie dosyć wspomnąć o pomyśle obrazu, o wykonaniu przemilczeć: mniemam, że każden Francii za błąd poczytać powinien to tak źle zapełnienie rzuconych zarysów: śmiałość zdobi rysunek, lecz wierność kolorów jest prawdziwą okrasą obrazów. Nie jeden z młodszych francuzkich malarzy grzeszy tém, czém niegdyś nasi młodzi romantycy: pochwyciwszy kilka myśli szczęśliwych, spieszyli z niemi w świat, nie dawszy sobie czasu w przystojne przyodziać je szaty: a jednak, poezyi jak malarstwu niedosyć na samych konturach; trzeba pięknych form, żywéj inkarnacyi, aby wielkiego powołania godne stwarzać płody. — Nie taję więc, że nie dzielę podziwienia, z którym kilku znawców stawało przed obrazem p. Francia; nigdy bowiem jędrność jedyna nie zastąpi zupełnie wdzięków, muzom właściwych. Wspomnąć należy o Achenbachu, że mąż ten acz, z średnich Niemiec rodem, często natchnień swoich szuka pośród zimnych ludów Norwegii: pamiętam jeszcze jego: «mgłę w górach», która całą dolinę zakrywszy, lekko się ku niebu unosi: widzisz tylko tu i owdzie sterczące nagie skały; posępny ten widok obudzi w tobie jakąś cześć nową, tę cześć mglistych obłoków, w których Ossyan tak czyste czerpał natchnienia.

W podobnym rodzaju na wystawie było pozgonne dzieło Schlossera, który umarł w Dysseldorfie w r. p. Melsheimera «gołaźnia na Hundsrück» należy do lepszych krajobrazów: żałuję, że powieszoném było pomiędzy świetnemi obrazami; albowiem nieśmiały pendzel i szary koloryt, wszelki efekt postradał, a zamiast posępnych myśli, swoją bladawą niemocą odchęcenie pobudzał. Obraz ten umieszczony w stósowniéjszém miejscu, przeniósłby nas w spokojną swoją samotność, niemą dla oka, lecz nie płonną dla duszy; bo dusza człowieka często tém więcéj czerpie w samej sobie, im mniéj

zewnętrznych bogactw natury w niéj się odbija. Wcale inny ma pendzel, nie poprawny lecz namiętny J. Henning. Mimo wad jego «parowy w lesie Bukowa,» mimo przesady w kolorycie zacienionéj wody i mgły unoszącéj się nad skałą, cieszysz się z śmiałości pendzla, który drzewa i ich odłamy, oraz z wielką ścianą ziemi tak dobitnie wyraził. Wagnera zimowy poranek różaną barwą cię ujmie: w naszych zimnych strefach wita nas homeryczna Eos o różowych palcach: pomysł prosty i wykonanie prawdziwe zaleca ten obraz. — Böckinga ruiny klasztoru Heiterbach należą do lepszych w tym rodzaju. Zadziwia nas niemało, że nadesłane krajobrazy uczniów dysseldorfskiéj szkoły, jakkolwiek pierwszeństwa ustępują Francuzom, jednak znacznie przewyższają Bawaryą i Berlin. Wprawdzie przyrodzenie skąpiło swych wdzięków Marchii, lecz tak suto, i rozmaicie wyposażyło Bawaryą, że powinnaby po palmę nadreńską sięgnąć. Wierność surowym zasadom sztuki i szlachetna nieustanna, i że tak rzeknę, co godzinna emulacya malarzy dysseldorfskich, zdołała ich wynieść do téj wysokości, na któréj ich widzim obecnie. Wszystkie ich krajobrazy są wdzięczne i miłe, lecz wszystkim brak ruchu i życia. Ma go wprawdzie Lessing, lecz olbrzymi ten gieniusz wszystkie szkolne przekracza zapory. On, który pierwszy odważył się przedstawić rysy sławiańskiego ludu, i na téj roli nie tkniętéj przez cudzy kunszt, sięgnął swych wzorów do kazania Hussytów, on także w naturze umiał nowe podchwycać piękności. Namiętnym jest myśliwym: dni całe biega po górach, lub czatuje w ukryciu na zwierza, a tym czasem malownicze rysy okolicznéj natury głęboko się wrażają do duszy: dosyć mi będzie wspomnąć jego jezioro śród skał, mnogie żurawie nad brzegiem błękitnéj przechodzą się wody, samotni goście dzikiéj okolicy: tam cicha władza natury się odzywa: zwierz ubiega się za zwierzem: stare drzewo młodsze chroni lub zagłusza; lecz człowieka tu śladu nie ujrzysz, nie kąpał się w tych wodach, i w żadnéj gęstwinie nie utorował ścieżki. — Wyżéj wspomniany krajobraz Melsheimera, który także jezioro w miéjscu pustém i oddalonym od ludzi przedstawił, zasypia jedynie, gdy zaś Lessing budzi tęsknotą, ale razem i zaspokaja.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

O literaturze ruskiéj.

(Dokończenie).

Wyjątek z wspomnień Tomasza Padurry.

Noc była, wicher ściągał na obłoki
Złowrogie chmury, jak olbrzymów zwłoki,
Co w krwawém łonie przed słońca odlotem
Leżały martwe za jego namiotem;
Nagle zbudzone dalekim piorunem
Pokryły zachód grobowym całunem,
I w szyk wychodzą w niekształtnéj kolumnie.
Xiężyc nad miastem jak lampa na trumnie,
Spojrzał na ludzi twarzą niespokojną
I tak ich żegnał jak żołnierz przed wojną;
Raz jeszcze błysnął z czarnéj chmur nawały,
Zaświecił ziemi, jak upiór ze skały,
I zgasł jak upiór, kiedy krzyża zoczył,
I w tęczach gwiazdy za sobą potoczył;
Jedna z nich tylko w dalekim błękicie
Dumna jak w stepach zabłąkane dziecię.

Z miasta ku rzece po nadbrzeżnym piasku
Szli dwaj podróżni przy latarni blasku,
Oba milczący, różni strojem oba;
W oczach ich była niechęć, czy żałoba
Czasów ubiegłych, czy przyszłości zdarzeń,
A może sprzeczność dusz ich wyobrażeń...

Jeden był pielgrzym, jak widać z odzienia,
Miał wyraz twarzy dawnego plemienia,
Co w ciągu wieków, w różnéj krwi przelewie
Daje się czytać jak uczucia w śpiewie:
Lecz ucho często ze śpiewaka nuty
Nie da nam prawdy, tylko ton zepsuty
Badań, domysłów, i sprzecznych i różnych;
Ale kto zdybie pielgrzyma z podróżnych,
I w twarz mu puści myśli tajemnicze,
Jeszcze nim stronę domysłów poruszy,
Zagra mu boską muzyką oblicze
Przeszłéj wielkości i wielkości duszy!...
Taki był pielgrzym, a podróżny drugi
Miał wszystko martwe, i odzienie sługi.

W porcie, nad rzeką, w niespokojnym gwarze
Witano gości; ze statku żeglarze
Przez chmury niebo pytali oczyma
O los wyprawy; tylko wzrok pielgrzyma
Zdawał się niedbać o losy podróży:
Znać, że ich doznał, i ciszy i burzy...
Podniósł latarnię, pochodnię rozżarzył,
Chłodném spojrzeniem żeglarzy obdarzył,
I wszedł na pokład; wezwał okiem sługi,
Wskazał mu miéjsce, i dał znak żeglugi;
W téj chwili burza na brzegach i w mieście,
Rozwiała smutne jęczenia niewieście.

Na drugim brzegu, oparty na skale,
Pod którą z szumem toczył wicher fale,
Stał jakiś człowiek w milczeniu głębokiém
I często brzegi zwiedzał bystrém okiem,
Jak gdyby chęć miał oglądać żeglarzy.
Jego spojrzenia, rysy jego twarzy,
Wiodą mi na myśl południowe kraje.
Tam go widziałem; i jak mi się zdaje,
Mieszkał na zamku, przy wysokim rodzie,
I nosił imie wieszcza na zachodzie,
Lud jego nieznał; on mu tylko w śpiewach
Kołysał duszę, jak w burzy powiewach
Słyszy zbłąkany wśród nocy zdaleka
W bezludnym stepie luby głos człowieka,
I ma pociechę w opłakanéj dobie,
Witać anioła na pokuty grobie.

On kochał ludzi—jeszcze w dniach młodości
Biło w nim serce miłością ludzkości,
Czas ją usilił, żar duszy rozniecił,
Sławą jak tęczą marzeniom zaświecił;
Przy jéj to blasku o uniesień świecie
Leciał za marą, jak za cieniem dziecię
Igrzyska losu niemogły go zbudzić,
Ni myśl objaśnić, ni duszę wystudzić;
I wpadł w chorobę; lecz nie było leków,
Bo ziół jéj trzeba z urojonych wieków...
Zamiast nektaru, trucizny uwagi
Dawał mu rozum wystygły i nagi;
Wzgardził darami, szyderstwa uśmiechem,
Wyszedł w pustynię... i tam został — mnichem.
Cóż go wypędza na tych skał bezdroże,
Z klasztornéj ciszy, i o takiéj porze?

Elżbieta Drużbacka.

Imie Drużbackiéj, w dziejach literatury naszéj, na szczególną z wielu względów zasługuje uwagę. Naprzód, jest to jedyna rymotwórka nasza; a przynajmniéj, jedna godna pamięci: powtóre jest niezaprzeczenie najlepszą z rymopisów wieku swojego; z dzieł jéj zatém lepiéj niż z innych poznać możemy duch i charakter poezyi naszéj w pierwszéj połowie 18. wieku: z tym dodatkiem,



Elżbieta Drużbacka.

że zalety ich więcéj talentowi saméj autorki, wady zaś więcéj wpływowi czasu przyznać należy.

Niektóre poezye Drużbackiéj, a mianowicie sielanki: „Cztery pory roku, Pochwała lasów“ i t. p.: tchnąca w nich słodycz i wiéjska prostota, wdzięk wyrażenia, płynność wiersza i czystość języka, w każdym najpomyślniejszym nawet dla literatury czasie, obok Kochanowskiego lub Karpińskiego stawione, jeszczeby dla autorki swojéj, sprawiedliwą wziętość zjednały. Lecz, jeżeli przytém przeniesiemy się myślą w wiek, w którym żyła: (od 1693—1760.) wiek jałowéj oschłości i skażonego smaku, wiek pijatyk i huków rozpasanéj szlachty, *) wiek pedantyzmu i żakowskiéj przysady jezuickiego szkolnictwa, piętnującego się na wszystkich bez wyjątku płodach literatury ówczesnéj, — (jeżeli warto zwać literaturą błahe, zapomniane ramoty:) — zadziwić się słusznie wypadnie, jak kobieta, wychowana i żyjąca na wsi, żona ziemskiego urzędnika nie znająca, jak wiemy, żadnych obcych języków, a ztąd i żadnych lepszych obcéj literatury wzorów, w pismach swych, jeżeli nie zawsze, to przynajmniéj tak często, potrafiła uchronić się równie towarzyskiego, jak literackiego wpływu otaczających ją ludzi, i tak chlubnie odróżnić się od nich. W poezyach jéj, nie widzimy nigdzie piętna owéj potęgi gieniuszu, co sama niekiedy pojedyńcze osoby, nad cały ich wiek i naród wynosi. Czyżby więc nie należało przypuścić, że kiedy w głowach męzkich, dym kufla i pył alwara zaćmił poznanie wartości Zygmuntowskich naszych poetów: czucie ich wdzięku i cześć ich imienia znalazły sobie przybytek w sercach, nakształt ich pieśni, zahukanych niewiast, nim je znów wkrótce wiekopomny Konarski na publicznym ołtarzu postawił, i do czci narodowéj przywrócił? Wniosek ten, tém większéj zda się mocy i prawdopodobieństwa nabierać, gdy sobie przypominamy, że w tymże czasie oprócz Drużbackiéj, inne także niewiasty trudniły się rymotworstwem *); że w gorliwém współdziałaniu pierwszych pań w kraju, Konarski znalazł najsilniejszą pomoc w zaprowadzeniu naukowéj reformy, i że nakoniec wpływowi światłych matek w owym właśnie czasie żyjących, winna jest Polska największych miłośników i opiekunów nauk, w osobie króla Stanisława Augusta, i xięcia generała ziem podolskich. Drużbacka w poezyi zdaje się już być niejako jutrzenką tych dni świetnych, które wkrótce za ich staraniem dla literatury naszéj wejść miały: a których też początku długim swym wiekiem dożyła. Nie wszystkie, lecz we wszystkich jéj wierszach, znajduje się tyle szczegółowych piękności i rysów, obcych zupełnie jéj współczesnym wierszopisom, a stanowiących już cechę zaraz po niéj następujących poetów: iż możnaby raczéj powiedzieć, że od niéj zaczyna się nowa epoka poezyi naszéj pod Stanisławem Augustem; nie zaś (jak jest w istocie) że na niéj się kończy epoka szkolarskiego wierszopistwa, przez cały ciąg panowania Sasów trwająca.

O szczegółach jéj życia, żadnych wiadomości nie mamy. Wiadomo tylko, że była rodem z okolic Lwowa, z domu Kowalska, poślubiona Drużbackiemu, stolnikowi żydaczewskiemu, po śmierci którego obrała sobie na resztę życia zakonne schronienie w klasztorze panien Bernadynek w Tarnowie, i chociaż bez uczynienia ślubów, pobożnym dawnych zwyczajem, sukienkę zakonną nosiła, jak świadczy wizerunek, który wydawcy z prywatnego zbioru dawnych portretów udzielony został.

Umarła w roku 1760., mając wieku lat 73. pogrzebiona w Tarnowie.

Pisma Elżbiety Drużbackiéj zostały pierwszy raz drukowane w Zbiorze poetów polskich przez biskupa Józefa Załuskiego: podług tego wydania przedrukowano je w Lipsku w r. 1837 w bibliotece klassyków polskich, z któréj uwagi niniejsze pióra E. O... wyjęto.

*) „*Za króla Sasa jedz, pij, i popuszczaj pasa.*“ historyczne przysłowie.

*) Xiężna Radziwiłłowa, autorka kilku tragedyj wystawionych na teatrze w Nieświżu: i pani Niemierzycowa, o któréj dziełach, szacowna autorka „Listów Rzeczyckiéj“ (najlepszego obrazu owych czasów) wspomina.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. Ciechański.)